
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, a także w roczniku „My, Sybiracy” wydawanym przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi.

Aktualnie relacje zesłańcze zgromadzone przez ten Oddział przekazane zostały do Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie utworzono Archiwum Sybiraków. Będą one stopniowo opracowywane i udostępniane na łamach „Zesłańca”, podobnie jak relacje znajdujące się w zbiorach Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Łucja Walczak – *Głód był nie do zniesienia.*

Mój ojciec pochodził ze wsi Szumów, powiat Witonia, koło Kutna. Prowadził gospodarstwo rolne. W 1914 r. był na wojnie. Wiem, że był legionistą. W domu zawsze legionowe śpiewał piosenki takie, jak: „My, Pierwsza Brygada”, „O mój rozmarynie” i inne, ale te najbardziej utkwiły mi w pamięci. Za swoją waleczność podczas wojny otrzymał ziemię na Kresach, koło Grodna. Tam ożenił się. Postawili zabudowania. Dorobili się ośmiorga dzieci. Pracowali na gospodarce i w sklepie spożywczym. Dobrze im szło.

W 1939 r. wybuchła wojna. Pamiętam pewien tragiczny dzień. Usłyszeliśmy silne wstrząsy. Mama pojechała tego dnia do Grodna po zakupy. Wszystkich jednak zawrócili z drogi. Nie można było pojechać do Grodna, bo wybuchła wojna. Niemcy bombardowali, ale my nie widzieliśmy Niemców, tylko Rosjan. Jechali konno, szli piechotą, przemieszczali się czołgami główną szosą Wilno-Grodno. Dniami i nocami. Głodni, brudni. Zabierali krowy, konie, co się dało. Tatuś mój bał się miejscowych ludzi, Białorusinów. Byli do nas wrogo nastawieni.

Tak było do 10 lutego 1940 r. W mroźną noc usłyszeliśmy walenie do drzwi – ktoś krzychał: „otwierać!”. Otworzył stryjek, który był u nas. Weszło trzech żołnierzy rosyjskich z karabinami gotowymi do strzału. Ojca, stryja i mamę w bieliźnie ustawili pod ścianą. Jeden pilnował, żeby się nie ruszali. Drugi zaś wyciągnął jakiś papier i czyta rodzicom, że będziemy przesiedleni, ale nie powiedzieli gdzie i dokąd. My, dzieci spaliśmy w drugim pokoju. Zobaczyli nas i kazali ubierać się, a u nas zrobili rewizję. Szukali broni, ale jej nie znaleźli. Wolno nam było zabrać do 40 kilogramów bagażu. Co my dzieci wzięliśmy ze sobą, to potem na zsyłce mieliśmy.

Zawieźli nas na stację kolejową w Baranowiczach. Czekaliśmy tam na nas bydlęce wagony z zakratowanymi oknami. Załadowali nas do nich jak śledzie w beczce i ruszyliśmy w nieznaną. W wagonie było wszystko – „łazienka, ubikacja, jadalnia, sypialnia” i kanonka na węgiel. Na Wschód jechaliśmy miesiąc. Po drodze dawali nam *kipiatok* i jakąś zupę od czasu do czasu. Podczas postoju wypuszczali nas na dwór koło wagonów. Wtedy załatwialiśmy się, nie zważając na wstyd¹. Myśleliśmy się śniegiem, a wojskowi nas pilnowali, żebyśmy nie uciekli. W drodze oczywiście panowało nas robactwo, którego nie mogliśmy się wyzbyć, bo nie było środków czystości. W końcu dojechaliśmy do celu, na Ural.

Od stacji końcowej wieźli nas saniami w głąb lasów. Był straszny mróz. Dzieci marzły jak sople lodu. Wyrzucano je jak niepotrzebny balast, tylko matki płakały strasznie. Zawieźli nas na Ural do baraków drewnianych, po kilka rodzin w pomieszczeniu. Rodzice zastanawiali się co dalej robić, a Rosjanie mówili – „przywykniecie”. I tak przywykaliśmy.

Mróz dochodził do minus 50 stopni, na dworze leżał wysoki śnieg. Nosiliśmy łapcie z łyka lipowego i jakieś szmaty na nogach powiązane sznurkami, a zwłaszcza ja, bo jestem inwalidką. Moja mama miała trochę z domu lnianego płótna, które sama na krosnach tkąca. Płótno kawałek po kawałku sprzedawała za chleb. Jako zesłańcy nie mogliśmy wychodzić poza wyznaczony teren.

Kiedy skończyło się nam płótno, głód był nie do zniesienia. Tata był u kresu swoich sił. Nikt nami się nie interesował, jak żyjemy – czy jesteśmy chorzy, czy głodni, a więc tatuś wziął kij i worek na plecy, a ja za tatusiem – i poszliśmy przez zamrożoną rzekę, nazywała się Kośwa, do wsi, żeby uprosić chociaż trochę kartofli. Przynieśliśmy dosłownie pięć kartofli.

Głodni znów spać idziemy, ale nie śpimy, bo w tych barakach było strasznie dużo pluskiew. Nie dały nam spać. Jadły nas żywcem. Paliliśmy smolne łuczywo, i w ten sposób broniliśmy się przed nimi.

Miejscowy komendant organizował zebrania z zesłańcami. Na tych zebraniach mówił: „Wy powrócicie do Polski jak rak świnię, jak włosy na dłoni mi wyrosną. Tu wasza mogiła, tu będziecie umierać”. Ludzie płakali i umierali. Panował tyfus i biegunka. Pani Kopeć pochowała trzech synów w jednym tygodniu. Pochowała ich w lesie. Zrobiono krzyże – było dużo z tego powodu nieprzyjemności.

¹ Z większości relacji zesłańców wynika, że konwojenci nie wypuszczali z transportów deportowanych osób. Do załatwiania potrzeb fizjologicznych służyły dziury w podłodze wagonów.

Przyszło lato. Starsze rodzeństwo – moje dwie siostry i ja chodziłyśmy do pracy w lesie. Czyściłyśmy las, zbierałyśmy gałęzie. Wtedy zarobiłyśmy po 40 dekagramów chleba.

Po dwóch latach życia na Uralu zostaliśmy przesiedleni². Wyjeżdżając z Uralsu musieliśmy dojść do Dobranki. Najmłodsza siostra – czteroletnia, a najstarsza – 14 lat, a jest nas osiem. Od Dobranki popłynęliśmy statkiem aż do Wołgi. Prawie wszyscy dostaliśmy się na statek, tylko stryjek Wojciech nie doszedł, nie mógł iść i umarł z wycieńczenia.

Po Wołdze jechaliśmy dwa tygodnie. Rzeka była zamrznięta. Kapitan nie chciał nas wieźć dalej. W końcu coś zorganizowali i ruszyliśmy. Dojechaliśmy do Kujbyszewa. Tam nas wysadzono do jakiejś szkoły i poszliśmy do łaźni na odwszawianie i za parę dni znów byliśmy w pociągu. Myśleliśmy wtedy, że jedziemy do Polski. Na każdej stacji dużo było pociągów załadowanych Polakami. Przez okna i drzwi pozdrawialiśmy się, pytaliśmy się dokąd jedziecie. Młodzież zdrowa, dziewczęta, chłopcy – kto żyw, każdy jechał do Armii Polskiej.

Nas zawieźli do Taszkientu. Tam wysadzili na ulicę, na bruk. Trzy dni mieszkaliśmy na ulicy. Padał drobny deszcz. I znów do pociągu. Wylądowaliśmy na stacji Timur. Przyjechało po nas parę śmiesznych wozów zaprzężonych w wielbłądy i osiołki. To był Kazachstan, kołchoz Kizeł niedaleko Turkiestanu.

W Kazachstanie klimat zupełnie inny niż w Rosji. Było bardzo gorąco. Dostaliśmy domy – lepianki z gliny z małym okienkiem, u tubylców zwane kibitkami. W tych domach nie było podłogi, tylko klepisko z gliny. Spaliśmy na grubej trawie, w barłogu. Przykrywaliśmy się szmatami. Też nas robactwo gryzło nie do wytrzymania. W tym czasie zachorował najmłodszy brat. Siostra zmarła. Nie było ratunku. Chleba ani kartofli tam nie było. Pracowałam przy pielaniu i zbieraniu bawełny.

W *Promkombinacie* robiliśmy na drutach rękawice dla wojska. Przy remoncie domu pracowałam razem z mamą, bo ojciec już odczuwał skutki głodu. Następnie z koleżanką Haliną Statkiewicz i jeszcze paroma osobami (które przydzielał nam brygadzysta Korolenko – Rosjanin) łowiłam ryby – były to przeważnie sumy. Potem zbierałam sól z wyschniętych od słońca dużych jezior. Ta sól miała gorzkawy smak. Za pracę dostawałam 5 kilogramów jęczmienia, bo tam chleba nie było. Chodziłam też do Kazachów do domów mleć na żarnach. Za tę pracę dostawałam to, co zostało po przesianiu mąki, to zaraz po drodze to zjadałam.

W tym czasie ojciec był bardzo chory z wycieńczenia i prosił mamę, żeby przyniosła mu coś do jedzenia. Mama poszła starać się o jedzenie. Jak wróciła, to już było tylko puste miejsce. Taty nie było. Została stara kurtka i pasek. Nawet nie wiemy, gdzie ojciec został pochowany. Pięcioro mojego rodzeństwa jeszcze przed śmiercią taty mama oddała do ochronki, która tam się utworzyła. Tak się stało, że dzieci, które były w ochronce, zostały wywiezione za granicę³, a ja ze starszą siostrą zostałyśmy i dalej walczyłyśmy o przetrwanie.

² Rodzina Autorki wyjechała.

³ Autorka niestety nie wyjaśniła, czy chodziło o wyjazd z ewakuowaną Armią Polską. W relacji brak jest też informacji o dalszych losach jej rodzeństwa.

Mama bardzo rozpaczała po ojcu i dzieciach. Mówiła – „tak bym chciała wrócić do Polski, pojeść kartofli z kapustą”. A tymczasem jedliśmy obgotowaną lebiodę, zaprawioną żółtym jajkiem. Robiliśmy częste wypadki w daleki step po żółwie. Nieraz na noc nie wracaliśmy pomimo, że groziło nam niebezpieczeństwo – było tam dużo jest skorpionów i jadowitych węży.

Kazachy mówili nam, że my pogany. Jak wchodziło się do mieszkań kazachskich, to najpierw się pytali, czy jemy świnie. Jak powiedziało się, że tak, to do domu nie wpuszczali. My wszystko jedliśmy, co popadło – kot, żółw, jeź, wszystko co się dało, aby przeżyć.

Pamiętam, jak pewnego razu wybrałyśmy się na step – ja, moja mama i Halina Statkiewicz. Jesteśmy w głębokim stepie. Najpierw szedł za nami wielbłąd. Nie chciał się od nas odcepić, parsknął za nami. Halina niosła worek. Miałyśmy ze sobą młotek do rozbijania żółwi. Boki musiałyśmy rozbić żeby dostać się do mięsa. Ona mówi – czekaj, ja ciebie raz poczęstuję. Położyła worek, wzięła młotek i pac go w pysk młotkiem. Parsknął, otrząsnął się, stanął i już nie szedł. A my poszłyśmy. Zapadła ciemna noc. My tych żółwi nazbierałyśmy. Wtedy mamę ugryzła jadowita żmija. Tam były studnie, z których połyły się owce i wielbłądy. Miałyśmy stary czajnik. Wyciągnęłyśmy czajnik zimnej wody, żeby mama włożyła do niego ugryzioną rękę (środkowy palec). Mama leżała, a my z Haliną ognisko sobie rozpaliliśmy i takie oberwane przy nim siedziałyśmy. Księżyc wschodzi. Siedzimy sobie, gaworzymy, smażymy to mięso na ognisku. Patrzymy, a tu stoi nad nami na koniu jakiś jeździec i pyta nas, co my tu robimy. My mówimy, że głodne jesteśmy, że przyszłyśmy na żółwie, że chcemy jeść, to chociaż tych żółwi zjemy. Pyta, co ta kobieta tu robi. Mówimy, że żmija ugryzła mamę, ręka ją boli, a gdzie teraz po nocy pójdzie. On mówi po rusku, że żmiję trzeba przestraszyć. Wyjął rewolwer i strzelił. W jedną stronę strzelił, a w drugą stronę gwizdnął. Mówi do nas, żeby jedna z nim poszła i konia zaprowadziła za górę razem z nim. Halina mówi – „ja nie pójdę!”. Ja też mówię, że nie pójdę. A on mówi – „No, paka”, czyli „to cześć”. Na konia wsiadł i odjechał. Jak powiedział, że „paka”, tzn., że on jeszcze wróci. To my ognisko prędko zgasiliśmy, zasypałyśmy piachem i w drugie miejsce przeprowadziłyśmy się, żeby on nas nie znalazł. Do rana żadnego ogniska nie paliliśmy. Schowałyśmy się w jakąś dziurę, żeby ten człowiek nas nie znalazł, bo jak on w jedną stronę gwizdnął, to kto nas w tym stepie znajdzie. Daleko od kołchozu. Kto nas będzie nawet szukał? Do rana mama przeleżała. Jakoś się zebrała i dotarła do ambulatorium. Jakoś ją wyratowali, ale nie czuła tego palca.

Kazachowie nie jedzą żółwi. Ich na stepie było bardzo dużo. Jak w worku mieliśmy żółwie, a Kazach tam zajrzał, to uciekał gdzie nogi miał. Jajka żółwi też jedliśmy. Oni sami biedni byli, nic nie mieli. Kazachowie głowy w maślanec myli. Wszy szukali, do buzi brali. My mydło dostaliśmy, to oni nie wiedzieli co to jest. Smakowali, lizali.

Miałam jeszcze takie przeżycie. Siostra moja dostała się do szkoły pielęgniarzkiej w Taszkencie (Uzbekistan). Jak skończyła szkołę, poszła do fabryki pracować. To było od nas 50 kilometrów. Napisała do nas list – „mamo, przyjeżdżaj, ja już pracuję w fabryce, to trochę zarobię”. My z mamą się pojechałyśmy do Taszkentu do siostry. W lepiance pozostał kocioł

do jedzenia, prycze do spania, trochę siana, szmat. Poszliśmy na stację Timur. Nie mieliśmy pozwolenia na przyjazd do Taszkentu, zabraliśmy się bezprawnie stojąc na stopniach wagonu.

Jedziemy. Konduktor mamę zdażył wysadzić, a ja pojechałam. Jak na rozjeździe pociąg stanął, to konduktor mnie zesadził. Już dojechaliśmy do stacji Arys, potem będzie Taszkent. Nie wiedziałam, co robić. Wróciłam się na stację, bo już kawałek odjechaliśmy. Chodzę po stacji i nigdzie mamy nie widzę. Mama miała cynkowe białe wiaderko. Gdzie jaki biały słup zobaczę, myślę, że to mama. Już zmrok zapadł. Ja głodna cały dzień. Boże, nie ma mamy, co się stało. Pytam się tego w budce, czy nie widział takiej kobiety. Nie, nie widział. Co ja sama zrobię bez matki?

Był nasyp na torze kolejowym. Takich jak ja, oberwańców było więcej, może 11-12 osób. Stanęliśmy przy torze kolejowym. Przyszła milicja. Wszystkich nas skontrolowała, zabrała, wypytała dokąd jedziemy. Ja mówię, że jadę do siostry, bo siostra jest w Taszkencie, uczy się w szkole, i pisała, żebyśmy przyjechały. Zrewidował mnie. Ja nic nie miałam. Wypuścił mnie i wszystkich. Położyłam się przy nasypie, ale deszczyk zaczął padać, więc poszliśmy stanąć koło budy z daszkiem. Policjant powiedział: „Odejdźcie stąd, bo przyjeżdża pociąg. Starszyna jedzie na wojnę”. Odeszliśmy. Słyszymy, że jedzie ten pociąg. Stanął. Wylatuje ta starszyna, szwargocze. Jeden wziął się pod boki i chodzi dookoła nas. Podchodzi do mnie. Pyta: „Ty kuda jedziesz?” Ja mówię, że do Taszkentu, do siostry. Nie mam pieniędzy, nie mam biletu. „Idi siuda!”. Zaprowadził mnie do tego wagonu, na wysokie prycze, przykrył mnie szynem – „jak kontrola przyjdzie, to nie ruszaj się, cicho siedź. Jak podjedziemy do Taszkentu, to ja ci powiem, gdzie masz zeskoczyć i pójdziesz sobie”. On nikogo nie wybrał, tylko mnie. Cud od Boga. Co ja bym zrobiła sama? Zeskoczyłam z wagonu, podziękowałam mu i poszłam.

W Taszkencie znalazłam siostrę, a mamy jeszcze nie było, bo mama 50 km na piechotę szła. Jak szła, to tak nogi wykończyła, że nie mogła wcale chodzić. Jak pojechałyśmy do Taszkentu, to myślałyśmy, że koniec z nami będzie, że umrzemy z głodu. Ani żółwia, ani kota, ani psa, nic nie było. Miasto wielkie. Nikt nic nikomu nie da.

Siostra miała koleżanki. Przyjechały do nich matki, przywiozły jedzenie. Żeby poczęstowały, to nie, broń Boże! Nie miałyśmy żadnego wyjścia. Z powrotem na piechotę te 50 km przez step. Obie z mamą przyszłyśmy do naszego domu, a tam nic nie było – ani drzwi, ani okna, ani kotła, nic. Szmatą okno zastłoniłyśmy.

Poszliśmy do kołchozu kartofle zbierać. Zbieramy, a moja mama z tarką w krzakach siedzi i trze, bo kartofli nie można było przynieść całych, a tak to można było. Tam wielkie marnotrawstwo było. Na Syberii, to pół zboża nie zebrali, a w Kazachstanie, to przydeptywali kombajnami. Później kłosa chodziliśmy zbierać, żeby na zimę pszenicy trochę mieć. To oni chodzili i kontrolowali – nawet zbierać nie pozwalali tego, co zostało. Ukradkiem chodziliśmy zbierać. Tam ziemi było w brud. Jak deszcz padał, to rosło. Później deszcz nie padał absolutnie, tylko 40-50 stopni upału. Dlatego oni pola nawadniają, bo tam bawełna i ryż rośnie. Tam pola nie gnoili, takie żyzne. Na Uralu jakie jagody, grzyby, żurawina. Runo – cos pięknego. Jakie tam ryby – sumy. Nie potrzeba było wędki – sznurek i nałapało się.

W Kazachstanie z mojej rodziny zmarli: najmłodsza siostra, stryjek i ojciec. W marcu 1946 r. powróciliśmy do Warszawy.

Łucja Walczak (z domu Sobierajska) urodziła się 13 grudnia 1926 r. w Rokitnie nieopodal Grodna, w województwie białostockim. 10 lutego 1940 r. została wraz z rodziną deportowana do obwodu mołotowowskiego (Rosyjska FSRR), gdzie przebywała do czasu „amnestii” z 1941 r. Następnie przez Dobrankę i Kujbyszew, a następnie Taszkient (Uzbekistan) trafiła do kołchozu Kizel (?) w rejonie turkietańskim w obwodzie południowokazachskim (Kazachska SRR). Stamtąd powróciła do Polski w 1946 r.

Prezentowana relacja stanowi zapis przeżyć bardzo młodej osoby, która doświadczyła koszmaru wojny, deportacji i zesłańczej poniewierki. Jej codziennością był głód, strach i upokorzenia. Na zsyłce straciła ojca, siostrę i stryja. Nieznane są niestety losy jej piątki rodzeństwa, które matka była zmuszona oddać do sierocińca. Autentyczności relacji dodaje prosty język, którym posługuje się Autorka. Tekst został poddany niewielkiej obróbce redakcyjnej – usunięto błędy językowe, powtórzenia, skorygowano niektóre frazy. Starałem się jednak zachować oryginalny sposób wypowiedzi. Tytuł relacji został zaczerpnięty z tekstu. Wspomnienia Łucji Walczak nagrał w 1993 r. Jerzy Rossowski, a opracowała je Wiesława Torzecka. W Archiwum Sybiraków UE są oznaczone sygnaturą R-195.

Wojciech Marciniak